DZIŚ I JUTRO

PISMO DLA MŁODZIEŻY ŻEŃSKIEJ

WYCHODZI 1. i 15. KAŻDEGO MIESIĄCA.

ROK III. 1. WRZEŚNIA 1927. № 14/15.

Myśl - słowo - czyn.

Aby rozkołysać spiżowe serce dzwonu i wydobyć metaliczny dźwięk, potrzeba wytężenia muskułów, nabrzmiałych mocą, i rozmachu dwojga rąk. Zaś ponad wszystkiem stać musi wola, płynąca nie z ciała, lecz z najwyższej instancji — ducha. Z woli wolnej, niezależnej a cichej powstaje czyn. Ale nie bezpośrednio. Początkowo, niby błyskawica wśród mroków, budzi się do życia, jako myśl. Często w tym stanie nieuchwytnym trwa długo, zanim przeobraża się w kształt, bardziej realny — słowo. Tu już zaczyna działać. Staje się dźwiękiem. Ima się uszu i serca, niekiedy przelatuje przestrzenie w formie druku. Zakreśla szerokie koła, ale nie jest jeszcze w ścisłem znaczeniu czynem. Zaledwie pobudką do czynu, projektem czynu, rudą, przetopioną w płomieniach jędrnego rozumowania. Wola wolna i niezbędna, niby młot, spada całym ciężarem swej bezwzględności na ową bryłę samorodnego kruszczu, miażdży ją i nadaje kształt widoczny — na podziw wiekom i pokoleniom przyszłym. Wola rozbieżna i chwiejna tworzy czyny nietrwałe i marne. Nieopancerzony wolą duch jest, niby chwiejny płomień, zależny od kierunku wpływów postronnych. Lada podmuch go zmoże, zgasi. Człowiek posiada dwa rodzaje woli: dobrą i złą. Pierwsza — wspomagana rozumem ,lecz stale krążąca koło serca, jest podwaliną charakteru dobrego. Częstokroć tworzy czyny — arcydzieła. Druga jest wypaczeniem pierwszej, złym duchem wnętrza człowieka. Niby tarczą, osłania się dowodami rozumu, stale unikając styczności z sercem. Za godło ma krzywdę bliźniego, czyni wszystko nawspak, wbrew podszeptom sumienia. Na sile jej nie zbywa. Zła wola wstrząsa posadami sprawiedliwości, ostrzy nóż zemsty, bluzga krwią bratnią. Zła wola ujarzmia słabe, ciche, narody i zaprzęga je do rydwanu niewoli. Jej to piorunowa moc strzechy bratnie zarzewiem niezgody podpala, ciska w odmęt walk bratobójczych, chełpi się przemocą, a gwałtem zamyka usta, buchające skargą. Szczytne dążenia jednostek do ziemi przygina, staje wpoprzek ciążenia ku prawdzie. Sercom zbłąkanym, czarę szyderstwa podaje. I o całe wieki nadzieję przyszłego szczęścia ludzkości — oddala. Rozum, dowcip, odwagę i stanowczość, wytrwałość w przedsięwzięciach, talenty umysłowe bierze na własność i posługuje się niemi na niekorzyść ogółu. Umiłowaniem jej kłamstwo, wrogiem — prawda. A szczęśliwością najwyższą — łzy bliźniego. Umorzyć złą wolę może tylko wola dobra, wolna i silna, płynąca z czystego ducha. Hartowna doznaną krzywdą, wypalona w płomiennem morzu doświadczeń, posłuszna wewnętrznym nakazom, zapatrzona w promienne oblicze

sprawiedliwości. Ale... By w czyn się rozrosła, mieć musi odwagę stania się myślą w tajnikach mózgu, słowem — w ustach. Pierwszy krok na twardej drodze czynu, to właśnie wolna wola myślenia. Gdy usta nieme... do czasu, wolna myśl skupia swe moce, zdobywa się na sąd, śmiałe wnioski wyciąga. Niby motyl w kokonie, dojrzewa w mózgu, kształtuje się powoli. Potem odlana w formę słowa z mroków pójdzie na światło. stanie się własnością ogółu. niekiedy objawieniem dla dusz. Miejmy odwagę słowa krzepiącego. Usta, które raz jeden otworzyły prawda i odwaga — nie zmilczą. Odwagę słowa należy hodować w sobie z pieczołowitością i zamiłowaniem mędrca, dążącego do osiągnienia wyżyn poznania, z uporem spętanego lwa, którego rozpiera pragnienie swobody.

Wypowiedzenie się w rzeczy sprawiedliwej i dobrej — to właśnie rozkiełznanie pomyśleń zacnych, spętanych brakiem śmiałości.

Odwaga czynu na dwóch pierwszych warunkach, niby na granitowych podstawach, wznosi się i opiera. Jest poniekąd wynikiem walki wewnętrznej, jaką stoczyły moce ciemne i niewyzwolone w człowieku z pragnieniem jego stania się s o b ą (w znaczeniu dodatniem). Odwaga czynu jest tedy koroną moralnego odrodzenia się ducha ludzkiego.

Marja Stagieńska.

RYCERZ CHRYSTUSOWEGO KRZYŻA*).

Wiemy dobrze, że cierpienie fizyczne jest nieodłączne od naszego doczesnego życia. Wiemy też, że znoszenie z rezygnacją tego cierpienia jest obowiązkiem chrześcijanina. A jednak jak mało w nas cierpliwości! Lada błahostka, lada przelotny ból, wyprowadza nas z równowagi. Wzdychaniom i jękom niema wtedy końca. Pieczołowicie pielęgnując swoje rozkapryszone „ja", stajemy się wobec niego nader pobłażliwi. Takie biedne, tak udręczone! Niechże mu będzie wolno pofolgować sobie nieco! Nie spełniło swych codziennych obowiązków!... Mniejsza z tem!... Darujmy mu!... Chorym wiele wybaczyć należy!... I wybaczamy. Ono zaś męczennicze „ja", zadowolone z udzielonych przywilejów, puszy się, rozpościera i... dokucza bezkarnie całemu otoczeniu. A jednak dzieje przechowały nam wspomnienia wielu istotnych rycerzy krżyża, dla których krzyż ten, choć z pospolitych, codziennych dolegliwości zbudowany stał się pobudką do nieustannej drogi wzwyż ku szlakom chrześcijańskiej doskonałości Takich bohaterów cierpienia nie zabrakło i w ostatniej wojnie. Z jednym z nich chcę dziś poznajomić moje czytelniczki.

We wstępie do swoich wspomnień opowiada nam Jakub d'Arnoux [1]), że pomimo skłonności do lenistwa interesował się on od lat najwcześniejszych zagadnieniami, związanemi z potęgą woli. Wyrażenia takie jak „dzika energja", „nadludzka wytrzymałość" wśród czytania spotykane, rysowały mu się przed oczyma wypukle i dobitnie, wywołując w duszy jego wstrząs elektryczny.

Wojna wybuchła, gdy był niedorosłym jeszcze młodzieńcem. Kolejno w kawalerji, w piechocie i w lotnictwie próbował swych sił, stając w szeregu tych, którym się należy miano „błędnych rycerzy chwały". Awiatyka była ostatnim etapem na tej drodze. — W lecie 1917 r. — pisze on — pomiędzy godzinami ćwiczeń lotnych, pracowałem, by opanować młodzieńcze porywy, któ-

*) Jaques d'Arnoux: „Paroles d'un revenant".

rych zawrotność czułem dobrze. Pragnąc poświęcić Bogu mą przyszłość, błagałem Go, by opiekował się trudami mojemi i moją słabością. Niespełna przez jedno lato trwały te modlitwy. Skutkiem walki powietrznej spadłem z nieba... Widocznie praca i skupienie nie wystarczały mi dla odkrycia tajników bohaterstwa. Trzeba mi było kalectwa i męki...

Po przebyciu bardzo krwawych dni podczas walk w Szampanji w 1915 r., rozpoczyna młody porucznik d'Arnoux służbę w lotnictwie jesienią 1916 r. W sierpniu 1917 działa już zupełnie samodzielnie, stając do walki z nieprzyjacielskiemi aeroplanami. Dwie pierwsze wycieczki odbywa względnie pomyślnie. Z drugiej jednak jego statek powietrzny wychodzi mocno nadwyrężony. — „Siedem kul w wieżyczce — pisze we wspomnieniach z tej wyprawy — siedem kul, które powinny były mnie trafić. A ogień... Zaledwie sekundy dzieliły nas od pożaru, gdy mój pilot zgasił motor! Gdyby był miał za późno, tę myśl zbawczą! Za późno! Jestem szalony! Czyż Wiekuistemu mogłoby zabraknąć czasu...!"

W trzeciej wycieczce aeroplany niemieckie atakują. Pilot porucznika d'Arnoux zabity wypuszcza ster z rąk. Samolot francuski trzepoce się przez chwilę i zatacza niby pijany! Ostatni moment świadomości, uczucie błyskawicznego zapadania się w przepaść — a potem na czas jakiś nicość zupełna!... Z nicości tej budzi młodego bohatera ból potworny. Naokół gwiżdżą pociski — jest więc na linji bojowej, lecz orjentuje się szybko, że znajduje się po stronie wroga. W krzyżu bezwład zupełny. Bóle potworne w całem ciele i świadomość zupełnie jasna, że chyba cud zdoła go wybawić. Ale ten żołnierz chrześcijański ma wiarę gorącą i prostą zarazem, wiarę Bretończyka, który w Bogu widzi najmiłosierniejszego Ojca, więc poczyna się modlić: O Boże, ja nie chcę umierać. Nie opuszczaj mnie! Oto moje biedne skrzydła potrzaskane, więc mię weź pod cień Twoich skrzydeł. Wszakżeś moją nadzieją!... Patrol niemiecki odnajduje rannego i porzuca go, bezlitośnie.

Na szczęście jednak nadchodzi paru bohaterskich żuawów, śledzących, czy wśród pobojowiska ktoś z wojska francuskiego nie wygląda pomocy. Nie mogą unieść rannego, więc go pozostawiają jeszcze na czas jakiś, obiecując powrócić w większej liczbie. Zatem powtórne oczekiwanie, może jeszcze cięższe, i wreszcie niedająca się opisać męka, podczas gdy żołnierze francuscy z największym trudem, by uniknąć nieprzyjaciela, niosą porucznika swego do najbliższej stacji opatrunkowej.

Złożony na białem, szpitalnem łóżku, widzi porucznik d'Arnoux wysoką pochyloną postać, która szuka kogoś na sali. Poznaje ukochanego ojca. W chwilę potem padają proste, rozrzewniające słowa: Ocaliło cię Przenajświętsze Serce Jezusowe, gdyśmy, jak zwykle w pierwszy piątek miesiąca, komunikowali wszyscy z całą rodziną!

Więc życie pozostało, ale życie obciążone na początku potwornem cierpieniem, a wreszcie nieuleczalnem kalectwem. I teraz rozpoczyna się w młodym do niedawna tak pełnym bujnych sił żołnierzu, powolny proces wyrabiania potęgi ducha, by przy jej pomocy nad niemocą fizyczną zapanować. Proces to cudowny poprostu w swem chrześcijańskiem bohaterstwie. Porucznik d'Arnoux znosi cierpienie z najwyższą rezygnacją, ale wiedząc, że według woli Bożej dusza ma prawo chcieć zatriumfować nad materją, robi wszystko, co jest w jego mocy, by to cierpienie okiełznać przy pomocy psychicznego natężenia. Energja jego, podkreślam to wyraźnie, nie ma w sobie nic z buntu. Przeciwnie! On do krzyża, włożonego mu przez Chrystusa na ramiona, przywiązuje się głęboko. Ten krzyż nie gniecie go, ku ziemi swym ciężarem. On mu skrzydeł dodaje, by wzwyż mógł postępować. Czasem, bardzo rzadko, gdy cierpi zbyt mocno, z piersi jego wyrywa

się okrzyk: Dosyć! o Boże, miej litość nademną! Wnet jednak potem przychodzi ukojenie i z niem słowa: Niech się wola Twoja stanie! Daj mi tylko cierpliwość...!

A potem odnajdujemy w pamiętniku kaleki te cudowne ustępy: Obojętność, chłód, rozczarowanie — to śmiertelni nieprzyjaciele. Będę ich gnębił bez litości. Oddalę od siebie, o ile miłość bliźniego na to pozwoli, tych siewców chłodu, tych podcinaczy skrzydeł... którzy zubożają ci serce i głowę .Ci ludzie, bezsilni egoiści, to wrogowie bezświadomi Tego, który powiedział; Przyszedłem rzucić płomień na ziemię i czekam, by się zajęła! — Przecieżeśmy mocniejsi od tego wszystkiego, gdy jesteśmy z Tym, co nas tak ukochał. Nigdy ani śmierć, ani życie, ani teraźniejszość, ani przyszłość, nic nas nie oddzieli od miłosierdzia Pana naszego, Jezusa Chrystusa. Oto nagle czuję, że zasłona smutku mego się rozrywa, i bezmierna, z góry płynąca radość mnie zalewa. Oh, dlaczego chwile tej radości są tak rzadkie. Bo oto dajesz gasnąć w tobie płomieniom entuzjazmu!... Przecież to jedyne ognisko światła, ofiary i zapału.

A więc niechże cię strzegą te dwie westalki: pamięć i karność myśli. Niechże ci przyniosą święty ogień, niechże nie przestają go rozżarzać!...

W takim nastroju ducha przepędza porucznik d'Arnoux najpierw miesiące, a potem lata całe mąk i choroby. Wreszcie cierpienia się zmniejszają, ale i nadzieja wyleczenia się zupełnego zanika. Pojmować poczyna młody bohater i męczennik, że zostanie kaleką. Nieodrazu umie się z tem pogodzić. I tu zwycięża jednak rezygnacja, a właściwie nie rezygnacja, lecz nadzieja, że przecież kiedyś, gdy Syn Boży przyjdzie na sąd ostateczny, Jego ręka miłosierna zleczy wszelkie kalectwo i cierpienie. — A więc jednego tylko pragnę — mówi męczennik na ostatnich stronach swego cudownego pamiętnika — oto bądź wola Twoja. W niej znajdę zawsze moją moc, moją siłę i moje zwycięstwo. I bądź jeszcze zato pochwalony, żeś mi na słabość moją dał tak cudowną zbroję, w niej potrafię walczyć i będę walczył zawsze w cieniu Twego krzyża.

Takie cytaty możnaby mnożyć, a właściwie książkę całą chciałoby się przytoczyć, ustęp po ustępie. To jednak, co tu podałem, wystarczyć powinno, aby zachęcić do przeczytania jej i do bliższego zapoznania się z gorącą duszą jej autora, która goreje poprostu cudownym płomieniem religijnego uniesienia i zdumiewa niesłychaną potęgą i bohaterstwem woli.

M. Dynowska.

MISJE NA SYBERJI.

Syberja! nazwę jej każde dziecko w Polsce zna, daleka tak bardzo, a jednak we wspomnieniach i myślach naszych bliska, znienawidzona, bo nigdzie tyle łez polskich nie wsiąkło, co w tę ziemię, a mimo to droga, jako cmentarz najlepszych synów Polski. Obecnie najwięcej interesującem jest, jak rozwija się i żyje misja katolicka na tej ziemi, misja właściwie polska, ona bowiem utrzymuje kontakt nasz ze Syberją.

Ogólnie mówiąc, przyrodzone warunki życia na Syberji są dla człowieka bardzo trudne i ciężkie, głównie wskutek nader ostrego klimatu, o gwałtownych i znacznych różnicach temperatury. Dość powiedzieć, że we wschodniej Syberji na płaskowyżu około Wiercho-

jańska mrozy zimą dochodzą do 70° C., a średnio bywają po 40—50° C. Całe szczęście, że w ciągu zimy niema tam wiatrów, bo inaczej przy tak niskiej temperaturze nie przeżyłaby jej chyba żadna żywa istota. W lecie zaś, wprawdzie bardzo krótkotrwałem, bo zaledwie 3-miesięcznem panują wielkie upały, dochodzące w cieniu do 37° C., na słońcu zaś do 48° C.



Stary Charbin. Ochronka SS. Franciszkanek Misyjnych.

Prawda, że płaskowyż wspomniany ma najostrzejszy klimat, na zachodzie Syberji i południu jest on łagodniejszym, wszędzie jednak zachowuje charakter klimatu kontynentalnego. Skoki temperatury przychodzą z dnia na dzień: w porze największych upałów przychodzi w nocy mróz. Przyroda jest tam surową i twardą dla człowieka, ale niemniej jej dziewiczość, rozległość horyzontu, możność zupełnego odsunięcia się od osiedli ludzkich, jakby zagubienia się w rozległych, zda się nieprzebytych lasach i łąkach, a dalej wspaniałość potężnych rzek, jak Obi, Jeniseju, Angary i t. d. jak również jezior i gór, sprawiała, że nawet przybysze i wygnańcy polscy przywiązywali się do tej ziemi. I na niej przeto widać miłosne dotknięcie ręki Bożej, a to, że stała się ona synonimem padołu łez, to winna tylko przemoc i złość ludzka.

Zaludnienie Syberji jest nikłe: większą część Syberji ma mniej niż 1 mieszkańca na 1 km², tylko w południowych prowincjach dochodzi do 10 miesz. na 1 km². Ludność tubylcza składa się głównie z plemion mongolskich jak Burjaci, Tunguzi, Czukcze, spotykamy również plemiona tiurzkie, pokrewne mongołom, jak Jakuci. Oprócz nich są jeszcze koloniści europejscy, przybyli dobrowolnie lub przymusowo, jako zesłańcy. Niemały procent tej ludności

stanowią Polacy. Po każdem powstaniu zapełniał się Sybir zesłańcami polskimi a i w czasie ostatniej wielkiej wojny, nowe fale uchodźców i jeńców zdeptały tę ziemię. Z pośród tych wszystkich przebywają. Także za chlebem szli Polacy na Syberję i to najwięcej sędziowie, inżynierowie, urzędnicy kolejowi i t. d. Zebrała się więc dość znaczna paczka Polaków, wynosząca około 130



Charbin. Kościół parafjalny.

wygnańców wielu do kraju nie powróciło: jedni pomarli w zapomnieniu, jakby za życia pogrzebani, inni sprowadziwszy rodziny osiedlili się na stałe i potomkowie ich do dziś dnia tam tys., którzy stale na Syberji i w Mandżurji, dzisiejszej prowincji chińskiej, mieszkali; obecnie t. zn. po wojnie, wielu powróciło do kraju i ilość Polaków spadła do 85 tys.

Tak więc przez z górą 100 lat nawiedzali Polacy Syberję i czyż po nich na tej ziemi prócz łez nic nie zostało? Przeciwnie, Bóg dał im moc ducha, aby i w tej odległej, obcej krainie szerzyć Królestwo Jego: wzniósłszy się ponad własne cierpienie, tęsknotę i gorycz wygnania, poczęli badać naukowo to, co ich otaczało, toteż znajomość naukową Syberji tak pod względem przyrodniczym, jak i stosunków ludzkich w znacznej mierze zawdzięczamy wygnańcom polskim. A dalej, ponieważ zachowanie się ich w codziennem życiu, postępowanie z tubylczą ludnością było zupełnie odmienne od postępowania Rosjan, zwykle wojskowych i urzędników, więc pomimo zewnętrznego podobieństwa w sposobie życia, jako Europejczyków, ludność tamtejsza odróżniała ich od Rosjan i przylgnęła do nich nazwa „ci dobrzy ludzie“, a przenoszoną bywa na katolików, ponieważ Polacy byli katolikami. Z nazwą tą spotkać się można u Burjatów, Jakuci znowu mówią, że Polacy to ludzie, którzy mają palce i głowę t. zn. wszystko umieją zrobić i w każdej potrzebie zaradzić. Jeśli na fakt ten spojrzymy z punktu widzenia pracy misjonarskiej wśród tej ludności, to czyż Bóg nie użył zesłańców naszych jako tych, którzy najlepiej przygotowali grunt: Katolik — to Polak, a Polak, to mądry i dobry człowiek. Gdy się nie zna czegoś kokładnie, to wielką rolę odgrywają uprzedzenia, szczególniej uprzedzenia panujące wśród ogółu, tu spotykamy się z uprzedzeniem na dobre względem katolicyzmu, które może ułatwić zbliżenie się do niego i przyjęcie.

W ślad za wygnańcami, jak prawdziwie dobra matka, poszedł i Kościół za dziećmi swemi, cierpiącemi, na Syberję. Początek organizacji kościelnej na Syberji dali księża, zesłani po powstaniu 1863 r., do katorg, a mianowicie ci, którzy przeżyli lata wyznaczonej katorgi i z rozkazu władz poszli na t. zw. „osiedlenie“ t. zn. że pozwolono im na wolności zamieszkiwać pewne okręgi Syberji, zajęli się duszpasterstwem wśród osiedleńców oraz budową domów Bożych. Pierwsze kościoły wybudowano w Tomsku (1833 r.), w Krasnojarsku (1857 r.), w Omsku (1867 r.). Po większej części budowano je drewniane ze względu na łatwość dostania i taniość drzewa budulcowego. Najwięcej kościołów wybudowano między 1902 i 1911 r., tak, że przed wojną było ich na Syberji wraz z kaplicami 91, kapłanów zaś stale mieszkających tam było 63. Cała Syberja wraz z Mandżurją, kolonją państwa rosyjskiego, należała do archidjecezji Mohilewskiej i dzieliła się na 5 dekanatów, i ten zrąb Kościoła katolickiego, obejmujący całą północną Azję, powstał dzięki wysiłkom moralnym i materjalnym wyłącznie naszego narodu. Po wojnie cała Syberja przeszła pod zarząd Propagandy w Rzymie, czyli na prawach kraju misyjnego: utworzono nowy Wikarjat Apostolski Syberji, na czele którego stoi obecnie O. Gerard Piotrowski, Z. Br. Mn. Kraj Nadamurski dnia 2. II. 1923 r. został wydzielony z wikarjatu Syberji i utworzono djecezję Władywostocką z biskupem Śliwowskim na czele; bisk. Śliwowski był tam poprzednio proboszczem, a jest synem zesłańca politycznego.

Propaganda wzięła pod opiekę Kościół na Syberji, gdyż wskutek rewolucji w całym imperjum rosyjskiem, odcięcia od biskupa w Leningradzie, Kościół znalazł się tam prawdziwie w opłakanym stanie. O ciężkich warunkach pracy tamtejszego duchowieństwa świadczą listy księży, pisane do Misyj Katolickich. Rejon, na którym każdy kapłan pracować musi jest zawsze tak wielki, że musi on być w ciągłych podróżach, jedynie na wielkie święta ściągając do swej nominalnej siedziby, większego miasta, a mimo to wierni nieraz rok i dłużej pozbawieni bywają nabożeństwa i sakramentów św., gdy mieszkają w odleglejszych wioskach. Łatwo można to sobie wyobrazić, gdy się zważy, że na tak olbrzymią przestrzeń jest, obecnie po wojnie, tylko 12 księży.

Dotychczas też nie pracuje na Syberji żaden zakon misyjny, brak również katechistów, tak, że w wychowaniu katolickiem tamtejszych dzieci nawet o przygotowaniu ich do skramentów św.



Kościół w Stawgorodzie (dawniej Barnaul).

mowy prawie być nie może. A przecież temi katolikami tam, to są Polacy.

Prócz tego obecnie bolszewickie władze pozabierały miejscowym księżom plebanje, tak, że ci tułać się muszą, co szarpie ich siły, a równocześnie utrudnia bardzo pracę duszpasterską. Nie mieszkając też przy kościele, nie mogą roztaczać nad nim tak bezpośredniej opieki, jak dawniej, stąd zdarzają się częste kradzieże naczyń i bielizny kościelnej.

W nieco lepszych warunkach jest Kościół w półn. Mandżurji t. zn. głównie wzdłuż kolei mandżurskiej, przy której pracuje wielu Polaków. Placówką najważniejszą jest Charbin, prócz kościoła mamy tam gimnazjum polskie, założone w 1922 r. Od 1923 r., na skutek prześladowań władz bolszewickich, przeniesiono tu także z Władywostoku małe seminarjum, które ma na celu przygotowywanie miejscowego kleru.

Założonem było w 1926 r., jednak dosyć słabo się rozwija. U nas seminarjum w Lublinie „Bobolaneum“, kształci księży, pochodzących ze Syberji, lub też

Do okręgu Syberyjskiego liczy się jeszcze Turkiestan zachodni.

Zorganizował tam Kościół katolicki ks. Pranajtis, tworząc parafje i budując



Szałas burłacki w stepie.

pragnących tam wyjechać. W Charbinie są także Franciszkanki Misyjne Marji, bardzo rozgałęziony zakon, jedyny z misyjnych, który ma w Polsce nowicjat.

kościoły w Taszkencie i w innych jeszcze 11 mniejszych miastach. Niestety rozpoczęta budowa kościoła w Taszkencie, głównie przez jeńców wojennych,



Jurta burjacka.

jest niewykończoną i jak donosi ks. Kutenis, miejscowe władze chcą go zabrać, obracając gmach na inny użytek. Koło Taszkentu iSkobielewa były największe obozy jeńców wojennych, przeznaczone głównie dla naszych legjonistów i żołnierzy austrjackich i w czasie tych ciężkich lat niewoli, jeńcy ci jedyną pociechę znajdowali w tamtejszym kościele i organizacjach katolickich. A iluż z nich tam zostało, nie mogąc przetrzymać trudów niewoli. Toż samo można powiedzieć nietylko o Turkiestanie, ale o całej Syberji: to wielki cmentarz polski.

No a czyż my najmłodsze, którym tak swobodnie i bez troski płynie życie we wolnej Ojczyźnie dzięki ofiarom tych, którzy trudzili się przed nami i dla nas, nie zainteresujemy się i nie pospieszymy z naszą życzliwością, z pomocą moralną i materjalną polskiemu Kościołowi na Syberji w jego ciężkiem obecnem położeniu.

M. B.

ROMAN SANGUSZKO

ZESŁANIEC NA SYBIR Z 1831 ROKU

w świetle pamiętnika Matki Księżnej Klementyny z Czartoryskich Sanguszkowej, oraz korespondencji współczesnej. — (Warszawa 1927).

Pamiętniki Ks. Romana Sanguszki poprzedzone są przedmową Henryka Mościckiego, który we wstępie kreśli w paru wymownych słowach, czem były dla odrodzenia kraju, te zastępy bohaterów, których dzieje męczeńskie tworzą to wielkie i Święte Martyrologjum Polski Porozbiorowej.

Oto co pisze: „Wśród jednego z najdotkliwszych, jaki znają dzieje, politycznych upadków, wśród szeregu niepowodzeń, nieszczęść i klęsk, porozbiorowej doli, społeczeństwo Polskie zachowało niezłomne zdolności odradzania się, rozpoczynania po każdej klęsce pracy na nowo; nie wyzuło się ani z wiary, ani z poczucia obowiązku — pozostało wierne swej poważnej przeszłości i zdumiewające składało dowody, mocy wśród srogiej niedoli. Tej cnoty w upadku, tej twórczej siły wśród słabości, tej polskiej Virtus, żywiołem, dźwignią i uosobieniem, stał się cały zastęp patrycjuszow i plebejuszów porozbiorowych, w których cechach duchowych odnajdujemy przymioty i warunki niezbędne, aby naród, co utracił niepodległość istniał, przechował świętość tradycyj, związał choćby najsroższą teraźniejszość z wiecznem posłannictwem przyszłości i zachował godnie, w majestacie nieszczęścia, swoje w świecie stanowisko, poczucie swego prawa do istnienia“.

W tem to świetle przypatrzmy się życiu Romana Sanguszki. Dzieciństwo jego upłynęło w Sławucie w atmosferze ciepła rodzinnego wśród beztroskich zabaw ze starszą siostrą, Dorotą i młodszym bratem, Władysławem. Potem nastały lata poświęcone nauce, podróżom, i paroletni okres służby wojskowej w Petersburskich kawalergardach, a to na wyraźny rozkaz Cesarza Aleksandra I.

Zagrożony chorobą piersiową uzyskał prawo rzucenia wstrętnej mu służby, wyjechał za granicę, powróciwszy do kraju, oddał się pracy w rodzinnej Sławucie.

W tym też czasie poślubił pełną cnót i uroku Natalję Potocką. Ale związek ten był tylko przelotnym błyskiem szczęścia, bo w półtora roku po ślubie, młoda żona umarła po kilkudniowej chorobie na rękach zrozpaczonego małżonka. W duszy Księcia Romana zamkniętej teraz i jakby skamieniałej, wzrastały w milczącej zadumie ból i cierpienie.

Ale że dusza była w nim niezwykła, a serce wielkie, więc cierpienie pchnęło go do czynu i poświęceń i gdy 29. listopada 1830 r. wybuchło w Warszawie powstanie, a pierwsze wieści

o tem doszły na odległy Wolyń, książe Roman przedostał się do Warszawy i stanął w szeregach powstańczych

I odtąd właściwie rozpoczyna się treść pamiętnika, ktory mamy przed sobą. Listy Matki Polki kreślą dzieje tego męczeńskiego pochodu na Sybir, tych kaźni i upokorzeń, którerni dręczą Romana Sanguszkę, skazanego jako prosty żołnież, na służbę wojskową. I tak wśród śniegów północy, potem na gorach Kaukazu, trawi on najpiękniejsze lata młodości, aż wreszcie ciężko raniony, straciwszy oko i władzę w nodze odesłany zostaje do Moskwy — a i stąd zaledwie po długich staraniach puszczają do Sławuty tego złamanego męczeństwem kalekę. Dopełnieniem tych opowieści są jego listy z wygnania, które nam odsłaniają tę niepospolitą duszę i ten heroizm w cierpieniu wyrażony troską, myślą, staraniem, by ulżyć innym w cierpieniu.

Trudno w tem krotkiem sprawozdaniu oddać całą podniosłość i potęgę tych listów matki i syna — natomiast serdecznie można zachęcić każdego, a szczególnie młodzież naszą, do przeczytania tej książki, by te wielkie postacie naszych męczenników, żyły w ich myślach i sercu, by pobudzały do pracy i czynu w Ojczyźnie wskrzeszonej krwią ich ofiarną.

Kończąc przytaczam jeszcze ustęp z przedmowy H. Mościckiego.

Imię Księcia Romana Sanguszki przeszło do narodowej legendy. Nie czynów świetnością, bo tych los okrutny nie dał mu dokonać; lecz granitową stałością charakteru jaśnieć będzie ten niezłomny książe w dziejach męczeństwa Polski. Uświetni herbowy znak rodu swem dostojnem odważnem wyznaniem, że co czynił czynił z przekonania i „przed katowskim nie zbladnął obuchem, ani się spłonił na widok powroza“.

Złamany własną i kraju niedolą, niemy świadek dalszych narodu katastrof, w pracy około podźwignienia gospodarczego, szukał zapomnień i ran krajowych zabliźnienia. Postać uderzająco silna i hartowna, tęgością duszy przypominająca cnotliwych, starożytnego Rzymu obywateli, świecić będzie po wszystkie czasy przykładem „jakich Polska miała synów“, którzy jej ducha chroniąc przed zagładą, wiedli ku dalszemu pełnieniu przeznaczeń dziejowych“:

A. S.

DZWONY.

Zaledwie blaski słonka
Na niebios błysną tle,
A srebrny śpiew skowronka
Zadzwoni w szarej mgle,
Gdy z troską na swem czole
Ubogi wyjdzie lud
Do fabryk lub na pole,
Gdzie ciężki czeka trud;
By praca ta gorliwa
Pomyślny niosła plon,
Do modłów ludzi wzywa
Poranny świątyń dzwon.

Już słonko na zenicie,
Dokucza letni skwar,
Skowronki milkną w życie
I ludzki cichnie gwar,
Lecz choć niejedne skronie
Kroplisty zlewa pot,
Wśród pracy na zagonie
Godziny suną w lot;
Za lud ten swe błaganie
Przed Boży w niebie tron
O siłę i wytrwanie
W południe niesie dzwon...

Skończona dzienna praca,
Noc wkrótce uśpi świat,
Wieśniaczy tłum powraca
Z piosenką do swych chat,
I ptaków też gromady
Wracają do swych gniazd,
Na niebie księżyc blady
Jaśnieje wpośród gwiazd,
W przyrodzie wszelkie brzmienia
Spływają w modłów ton
I hymny dziękczynienia
Wieczorny głosi dzwon...

Jawnuta.

O ŻYCIE.

Na wysokiej skale, wznosił się wspaniały zamek, starej zasłużonej szlacheckiej rodziny, jednej z najbardziej znanych i szanowanych we Francji. Od kilkuset lat zamieszkiwali go członkowie tego rodu, który jednak teraz był już na wymarciu. Jedynymi jego przedstawicielami był sędziwy starzec i wnuczka jego Marietta.

Dziewczęciu tęskno i smutno bywało w cichym, starym zamku, w towarzystwie zawsze poważnego i surowego dziadka, marzyła też o nieznanym sobie świecie i wzdychała do niego.

Nie domyślała się wcale, iż żyła w czasach niezmiernie ważnych, w których tron i ołtarz zachwiały się w swych podstawach. Paryż, znała tylko z opowiadań ukochanej, zmarłej swej matki, to zaś co o nim słyszała od służby zamkowej, było zawsze tak pięknem i wspaniałem, że stanowiło tem przykrzejszy kontrast z jednostajnem jej życiem w starem gnieździe przodków.

Każdego prawie wieczora musiała Marietta dotrzymywać dziadkowi towarzystwa przy szchownicy, lecz o ile ta gra sprawiała przyjemność starcowi, o tyle przykrzyła się młodemu, pełnemu życia dziewczęciu. W dodatku dziadek ganił ją surowo za każde nietrafne pociągnięcie. A czyż mogła ona śledzić ciągle przebieg gry z natężoną jednostajnie uwagą? Czyż niezbyt trudne było to zadanie dla szesnastoletniego dziewczątka?

Kiedy pewnego razu uskarżała się na to przed kapelanem zamkowym, przezacnym Ojcem Cyprjanem, usłyszała od niego następującą przestrogę:

— Pamiętaj, dziecko, że każda ofiara, którą poniesiesz z miłością i poddaniem się woli Bożej, ściąga na twą główkę błogosławieństwo niebios. Ofiarą jest również twoja gra w szachy, a jeżeli ją spełniać będziesz chętnie i cierpliwie, to dziadkowi sprawisz tem przyjemność, a Bóg nie omieszka wynagrodzić cię za twe poświęcenie.

Słowa świątobliwego kapłana nie padły na twardą opokę. Marietta zawstydziła się swego niezadowolenia i tego samego dnia jeszcze zastosowała się podczas gry w szachy do rady Ojca Cyprjana. Tego wieczora nietylko dziadek jej nie zganił, ale nawet pochwalił, co bardzo ją ucieszyło.

Marietta zaczęła w grze w szachy robić szybkie postępy, nauczyła się myśleć i zastanawiać się nad każdem posunięciem, jak szachista z zawodu, tak, że stary hrabia musiał bardzo mieć się na baczności, aby nie przegrać partji, co mu się jednak, pomimo wszelkich starań, kilkakrotnie zdarzyło. Cóż to za triumf był dla Marjetty!

Tymczasem lata upływały i błyskawice, zapowiadające rewolucję z r. 1789, stawały się coraz gwałtowniejsze i groźniejsze.

Serce starego hrabiego ciężka dręczyła troska. Przewidywał, że burza, mająca niebawem wybuchnąć, złamie najprzód najszlachetniejsze drzewa. Ród jego wprawdzie z nim razem zstąpić miał do grobu, ale jaki los czekał ostatnią jego przedstawicielkę, młodziutką Mariettę?

Dla niej nigdy jeszcze życie nie miało takiego uroku, jak właśnie w tej epoce.

Do zamku swoich przodków wrócił właśnie niedawno młody hrabia Ludwik Cambronne. Był to najbliższy sąsiad, z którym Marietta w dzieciństwie nieraz się bawiła, teraz zaś ujrzała go dorosłym mężczyzną, pełnym zalet umysłu i charakteru. Hrabia Ludwik pozostał wiernym pamięci dawnej towa-

rzyszki swych zabaw dziecięcych, Marietta zaś odpłacała mu się serdeczną wzajemnością.

Szczęście ukochanej wnuczki, która niebawem stanęła z hrabią Ludwikiem na ślubnym kobiercu, rzuciło jaśniejszy promyk na ostatnie miesiące życia jej dziadka. Marietta miała już opiekuna, a gdyby starzec zamknął oczy, nie zostałaby samą na świecie, gdyż ramię męża stałoby się dla niej dźwignią i obroną, wśród niebezpieczeństwa.

Stary hrabia spoczął wkrótce rzeczywiście w grobowcu swych przodków i to jakby w najlepszej dla siebie chwili. Rewolucja przybrała daleko okropniejsze rozmiary, niż mógł sobie wyobrazić, tysiące niewinnych stały się ofiarą, a nawet głowa samego króla spadła na rusztowaniu.

Biedna, młoda Marietto, gdzie był twój mąż, twój opiekun i obrońca? Od kilku tygodni jęczał on w najokropniejszem więzieniu, dzisiaj zaś podpisano wyrok jego śmierci. Na cóż się przydało, że młoda żona stwierdziła przysięgą jego niewinność, błagając dlań o słuszny wymiar prawa i sprawiedliwości. Sędziowie pozostali głuchymi na jej prośby, gdyż prawo i sprawiedliwość znikły we Francji od chwili, gdy nie wahano się targnąć nawet na Pańskie ołtarze. Robespierre, przywódca Jakobinów, stał na czele rządu, ręce zaś jego splamione były krwią i łzami całych setek niewinnych ofiar...

Cóż więc mogłabyś uczynić, biedna Marietto, aby wzruszyć serce tego tyrana?

Na ulicy św. Honorjusza w Paryżu znajdowała się bardzo uczęszczana kawiarnia. Od niepamiętnych czasów zbierał się tu klub najznakomitszych szachistów, aby składać dowody swej umiejętności. — Wprawdzie owe czasy nie nadawały się do szukania takiej rozrywki; gdy w rzeczywistości dano królowi najokropniejszego mata, gdy głowy ludzkie staczały się prędzej, niż pionki z szachownicy, wówczas niejeden szachista stracił do gry ochotę. Może też i okoliczność, że Robespierre zwykł był przychodzić codziennie do tej kawiarni, przyczyniła się do tego, że dawni stali goście trzymali się zdaleka.

Ten, który całą Francję uważał jakby za wielką szachownicę, który zamordował króla i królowę, a całą ziemię ojczystą zamienił w jedno wielkie cmentarzysko, spędzał chętnie chwile przy szachach. Szkoda tylko, że tak rzadko znajdował kogoś, ktoby chciał się zmierzyć z tyranem, którego samo nazwisko przejmowało przerażeniem i zgrozą. Zwykle sam musiał kogoś prosić, albo nawet zmuszać, nieszczęśliwy zaś nie miał odwagi odrzucać tej propozycji.

Jakież więc było zdziwienie, gdy pewnego razu bez żadnego przymusu znalazł się dobrowolny partner. Był to młodzieniec, zaledwie ośmnaście lub dziewiętnaście lat liczyć mogący.

Robespierre spojrzał nań ze zdziwieniem. Kimże był ten chłopak, który z nim, sławnym i niezwyciężonym szachistą, odważył się wystąpić w szranki?

Twarz młodego przeciwnika zbladła wprawdzie na widok tyrana, drobna zaś ręka zadrżała mimowoli, gdy na ustach Robespierra szyderczy zaigrał uśmiech. Pomimo to jednak przyjął partję i po chwili gra się rozpoczęła, ściągając coraz więcej ciekawych widzów. Niebawem się okazało, że Robespierre znalazł godnego siebie przeciwnika.

Posunięcia następowały jedne po drugich; niebawem blade usta młodzieńca zawołały: „Szach!“, potem znowu: „Szach!“ i po raz trzeci: „Szach!“ Robespierre został pobity przez swego młodziutkiego przeciwnika, którego policzki się zarumieniły, oczy zaś dziwnym zapłonęły blaskiem.

— Dobrze grałeś, obywatelu, — odezwał się Robespierre — i dlatego proponuję ci drugą partję. Ale cóż będzie naszą stawką? o co będziemy grali?

Groźny tyran i nieznajomy młodzieniec zmierzyli się wzrokiem.

Czy ów człowiek bez serca zrozumiał błagalne spojrzenie cierpiącej niewin-

ności? Czy przeczuwał, jakiej stawki zażądają od niego?

— Stawką jest jedno życie ludzkie — odparł młodzian drżącym ze wzruszenia głosem.

Zimny dreszcz przebiegł wszystkich obecnych; zaczynali się domyślać, o co chodziło. Robespierre popatrzył długo i przenikliwie na swego młodego partnera, potem rzekł powoli z widocznym namysłem:

— Zgadzam się, obywatelu!

Po raz drugi gra się rozpoczęła. Chociaż za pierwszem pociągnięciem ręka młodzieńca lekko zadrżała, po chwili jednak zapanował nad wzruszeniem i jakby skupił w tej grze wszystkie siły i władze swego umysłu. Wszak chodziło tu o życie ludzkie! Przeciwnikiem zaś jego był człowiek, którego jedno spojrzenie mogło odebrać najśmielszemu przytomność umysłu!

Czy i po raz drugi młodzieniec odniesie zwycięstwo?

W pokoju panowała taka cisza, że usłyszanoby odgłos spadającej szpilki. Obie strony grały z jednakową na pozór zimną krwią i spokojem. Jak się to stało, że młodzieńcowi nie pękło serce ze śmiertelnej trwogi, że wzrok jego nie zaćmił się ani na chwilę i przytomność umysłu go nie opuściła?

Anioł Boży musiał mu towarzyszyć, kierować jego ręką i zlewać na jego głowę błogosławieństwo niebios, w przeciwnym bowiem razie nie zdołałby przeżyć okropnej tej godziny.

Wreszcie drżący głos młodzieńca zawołał: „Szach królowi!“, a potem znowu: „Szach królowi!“. Teraz nastąpiło ostatnie posunięcie. Król z przeciwnej partji dostał mata. Robespierre po raz drugi został pokonany. Z niezadowoleniem odsunął od siebie szachownicę i zerwał się od stołu z tłumioną wściekłością.

— Łaski dla mego małżonka, hrabiego Ludwika de Cambronne! — wydarł się błagalny okrzyk ze zbladłych warg jego przeciwnika, którego oczy gorącemi napełniły się łzami.

Robespierre spojrzał na młodzieńca, nie, raczej na młodą kobietę w męskiem przebraniu, która wybrała tak dziwny, rozpaczliwy sposób ocalenia życia ukochanego męża, a chociaż okrutny ten człowiek niezliczone razy z zupełną obojętnością patrzył na również smutne, rozdzierające sceny, tym razem wszakże nawet w zimnem jego sercu obudziło się mimowolne uczucie litości.

— Płacę stawkę, — rzekł nakoniec i usiadłszy znowu przy stole, podpisał ułaskawienie, podane mu natychmiast przez Mariettę.

Po chwili trzymała już ona w drżącem ręku dokument, uwalniający od kary śmierci najdroższego jej małżonka, dokument, który jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej otworzyć miał niezwłocznie bramy jego więzienia. więzienia.

Sprawdziły się słowa Ojca Cyprjana. Bóg w cudowny sposób pobłogosławił i wynagrodził ofiarę, którą niegdyś Marietta ponosiła dla dziadka przy szachownicy.

Wolny przekład z francuskiego
Jawnuty.

PIERWSZA MIŁOŚĆ MARYNKI.

5)

Pierwsze dni po powrocie nie były tak złe, jak Marynka z początku przypuszczała. Zamiast czarnej przepaści znalazła u końca drogi rozpachniony pierwszemi podmuchami wiosny dom i ogród. Odnalazła swój czerwony pokój, pełen książek i kwiatów, uśmiechnęła się do dzieci, do służby, do zwykłych domowych zajęć.

Po naprężeniu i zdenerwowaniu ostatnich tygodni popadła w jakiś dziwnie kojący odpoczynek. Nieraz, za lat dziecinnych, po długim wyczerpującym płaczu, miała wrażenie, że całe zmartwienie spłynęło łzami i wstrząsało nią już tylko ciche, bezbolesne łkanie. Teraz doznawała podobnego uczucia. Wiedziała, że jest smutna, ale nie czuła swego nieszczęścia tak boleśnie jak we Lwowie. Ustał ciągły przymus do udawania spokoju i wesołości, odpadły rany zadawane jej miłości własnej, odpadło ciągłe gorączkowe wyczekiwanie. Otoczyli ją inni ludzie, inne zajęcia, inna atmosfera — i było jej lepiej. Mama nie wspominała ani słówkiem o panu Tomaszu, wogóle rodzice nie mówili z nią wcale o karnawale. Marynka była im za to niezmiernie wdzięczna. Natomiast byli dla niej dziwnie dobrzy. Papa czytywał jej głośno książki, których nie mogła czytać sama, zaproponował lekcje łaciny, o czem Marynka dawno marzyła. Mama dała jej do pokoju nowe śliczne foteliki i szafę na książki. Wspominali też rodzice o możliwej podróży do Włoch, na przyszłą zimę. Długo nieraz wieczorem po kolacji omawiano te dalekie plany. Marynka miała wrażenie, że po strasznym, dławiącym trwogą śnie, obudziła się do życia cichego, trochę smutnego, ale kojącego i naogół miłego.

Często myślała o panu Tomaszu. Ale powoli i te myśli traciły gorycz; złe ostatnie tygodnie zapadały w cień, a coraz żywiej stawały w pamięci cudowne pierwsze czasy: piknik, bale, rolki.

Gdzieś, w głębi serca, wstawała wbrew oczywistości jakaś cicha, słodka nadzieja — ta niedorzeczna nadzieja, która jest największą mądrością przemyślnego ludzkiego serca, broniącego się przed zagładą i rozpaczą. a chcącego żyć za każdą cenę.

Trwożną nadzieją biło biedne stęsknione serce Marynki za każdym razem, co papa wracał ze Lwowa. Papa jeździł często do Lwowa: należał do rady nadzorczej jakiegoś banku. Marynka wiedziała, że w tej radzie jest też brat pana Tomasza.

Przecież tak łatwo mógł papie powiedzieć, że ma wielkie zmartwienie, bo jego młodszy brat, Tomasz, jest jakiś smutny i chory, Marynka zaraz domyśliłaby się dlaczego. Mógł wypytywać o nią. Mógł nawet wprost się zapytać, czy brat nie mógłby do Topolowa przyjechać, bo ma się zamiar o Marynkę starać. Mogły zajść i inne okoliczności: mógł przecież papa i samego pana Tomasza spotkać. Mógł się bardzo zmieszać na widok papy, o Marynkę pytać. Mógł ktoś papie powiedzieć, np. taka ciocia Marynia, która wszystko wie, że pan Tomasz się w Marynce kocha, że nie mógł jej się we Lwowie oświadczyć, bo... Tu fantazja Marynki nie znała granic. Tyle było właściwie możliwych powodów, dla których nie mógł przybyć na ten raut, nie mógł się potem pożegnać. A może sam nad tem cierpi, może jest jeszcze nieszczęśliwszy od niej. Może ma żal do Marynki?...

Na każdy więc powrót papy czekała Marynka z nadzieją i radością. Siedziała po kolacji u mamy i nadsłuchiwała. Zajeżdża papa. Wchodzi do sieni, zdejmuje ogromną szarą burkę, wiesza laskę i kapelusz, obciera nos i wąsy — potem wita się: klepie Marynkę po głowie i uśmie-

cha się wesoło. Napewno coś wie, tylko trudno tak odrazu w sieni mówić.

Podają papie kolację. Mama i Marynka siedzą przy stole. Papa jest bardzo głodny i je w milczeniu. Papa nigdy nie rozmawia jak jest głodny. Po kolacji zapala papa papierosa, odsuwa trochę krzesło od stołu. Mama zapytuje co papa robił, kogo widział. Serce Marynki bije gwałtownie. Teraz, teraz, napewne coś usłyszy.

Papa widział masę osób: z tym jechał koleją, z tamtym jadł kolację. Był na śniadaniu u marszałka. Marszałek pytał się o Marynkę. Jaka też Marynka głupia! Trudno przecież, żeby papa mówił takie ważne rzeczy przy służącym, który się kręci po sali jadalnej. Jeszcze papa, który tak uważa na to, co się przy służbie mówi.

Wkońcu przechodzą do pokoju mamy. Mama trochę zmęczona kładzie się na kanapie. Papa otworzył drzwi do swojej kancelarji i chodzi wielkiemi krokami po obydwóch pokojach. Marynka siedziała cicho na fotelu przy oknie. Cicho w całym domu. Słychać tylko kroki papy stuk, stuk, stuk i cichsze szach, szach, szach, gdy papa przechodzi przez dywan przed kanapą mamy.

Papa zaczął opowiadać: posiedzenie rady było bardzo burzliwe. Wszędzie miesza się polityka. Endeki zawsze brużdżą. Marynka bardzo sję interesuje polityką. Niecierpi endeków.

— Te endeki — woła z oburzeniem — ja zawsze poznam endeka. Endek jest chudy, nerwowy i chodzi w czarnej pelerynie.

Papa uśmiecha się zabawnie, tak trochę schyla głowę i rusza wąsikami. Staje w drzwiach kancelarji i rozkładając ręce, tłumaczy Marynce, że endecja, to jest rodzaj mentalności, na którą niema rady i że gadać z nimi nie warto.

Mama jest innego zdania: podnosi się z kanapy i tłumaczy papie, że się myli, że z endekami też można się dogadać, tylko trzeba sobie zadać trochę trudu. Papa bardzo nie lubi, jak mu się przeczy i przerywa opowiadanie, więc przestaje mówić, chodzi po pokoju stuk, stuk, stuk, szach, szach, szach i zaciera ręce. Wyciąga zegarek i powiada:

— No, trzeba iść spać. Dobranoc.

Marynka wstaje, całuje papę w rękę. Nagle papa sobie coś przypomina:

— Ach wiesz, spotkałem w klubie twego dansera, tego wojskowego, jak on się nazywał?

Marynce nogi wrastają w ziemię. Nie może się ruszyć z miejsca.

— Pan Tomasz? — pyta zdławionym głosem.

— Tak, tak, pan Tomasz; kazał ci się kłaniać.

Marynce serce bije jak młotem. Nie może oderwać oczu od twarzy papy; otworzyła usta i czeka — czeka — co papa powie dalej.

Ale papa jakoś nic nie mówi. Mama wstaje prędko z kanapy.

— Idź już spać Marynko.

Marynka wychodzi z pokoju. Przechodząc pod drzwiami kancelarji słyszy jak mama mówi jakimś zniecierpliwionym głosem do papy:

— Mój drogi, poco ty jej mówisz...

Marynka ma szaloną ochotę zatrzymać się i posłuchać co rodzice mówią. Napewno papa mamie wszystko opowie. Ale nie, to paskudnie podsłuchiwać pod drzwiami. Gdyby papa wyszedł na korytarz i zobaczył ją. Nie, nie. Ucieka czemprędzej na górę.

Długo nie mogła usnąć: papa go widział, rozmawiał z nim. Teraz tam mamie wszystko opowiada. Marynka jest tego pewna. Wie, że pannom niczego nie chcą mówić, że zawsze starsi między sobą wszystko układają, przecież tak było, gdy się jej kuzyn starał o Wandzię. Wandzia o niczem nie wiedziała i nagle jej powiedzieli, że się Zbiś o nią oświadczył. Mama nie chciała, żeby jej papa mówił o panu Tomaszu, bo chce jej zrobić niespodziankę. Mama tak lubi niespodzianki.

Mama się wszystkiego domyśla, tylko tak przez delikatność z Marynką o tem nie mówi i za jej plecami wszystko układa. Dobra, kochana mama. Aż raz zawoła Marynkę i powie jej:

— Marynko, zgodnij kto dziś przyjeżdża?

albo:

— Marynko, pan Tomasz oświadczył się o twoją rękę. Co mam odpisać?

Nazajutrz Marynka była trochę nerwowa. Patrzyła pilnie w twarz mamie i papie, ale nic nie mówili. Oczywiście mama nie pozwoliła papie nic mówić, żeby nie zepsuł efektu niespodzianki.

Tylko baczniej śledziła teraz Marynka pocztę. Jak tylko widziała, że wraca stary, głupkowaty Jaś, biegła odebrać mu skórzaną torbę i niosła ją do mamy. Mama odbiera tyle listów: są takie, które podaje tylko papie, mówiąc:

— Masz, przeczytaj.

A papa też nic nie mówi, tylko zdejmuje ćwikier, czyta i oddaje mamie. To napewne listy w sprawie Marynki. Poco tyle pisać o takiej prostej rzeczy? Ale widocznie tak trzeba.

Raz — a było to już dobrze po Wielkiej nocy, już jakoś w maju — oddała mama Marynce list. Marynka nie znała pisma, obracała kopertę ze żdziwieniem. Stempel był ze Lwowa. Marynce zadrżały ręce. Rozerwała kopertę. Na kolana wypadły jej dwie fotografje. Pan Tomasz. Świetna fotografja! Na drugiej pan Tomasz między Ellą i Jadzią. Marynka zaczerwieniła się po uszy, wsunęła fotografje do koperty i chwyciła za list.

(C. d. n.) *Zofja Morstinowa.*

KWIAT NENUFARU!

W gęstwiach prastarych tajników boru,
Pośród błękitnej fali obszaru,
Zakwitł, bielszego niż śnieg koloru,
Kwiat nenufaru.
Pod tchnieniem wiatru toczy się fala,
Mętna zgnilizną pośród szuwaru,
Śliskiem dotknieniem zda się że skala
Kwiat nenufaru!

Lub wąż zielony, żyjący w bagnie,
Chcąc zmazać czystość krasy moczaru,
Rzuca swe błotne kryjówki na dnie,
Lecz nenufaru
Kwiat go rozbraja swą niewinnością
Wąż niknie w gąszczach splotów wiszaru
A pośród bagien świeci białością
Kwiat nenufaru!

Zofja Porayówna.

PIERWSZE POSIEDZENIE KÓŁKA FIZYKALNEGO
KLASY VII.

Przewodnicząca kółka, energiczna Wanda, zagaja pierwsze powakacyjne posiedzenie słowami Foche'a: „O ile dążności odwetowe wśród narodów nie ustaną, będzie za lat 15 nowa, lecz straszniejsza wojna, w której mężczyźni, kobiety i dzieci udział wezmą“.

Rzuciwszy te słowa, żąda namysłu i wniosków. Twarze uczestniczek poważnieją, następuje chwila ciszy. Przerywa ją spokojnie i logicznie myśląca Ajka, prosząc o głos, po niej zapisuje się do głosu rozważna, lecz nieco sceptyczna Jasia, kolejno podnoszą się palce Irki, Zosi, Eli, Steli, Luci, Bożeny, a przewodnicząca kreśli z zadowoleniem ich nazwiska na papierze.

— Ajka ma głos!

Ajka z niezrównanym spokojem zaczyna: Słowa Foche'a i mnie uderzyły. Myślałam nad niemi długo. Jeśli chcecie, podzielę się z wami wynikami moich rozważań, ale od uczenicy klasy VII., nie spodziewajcie się rzeczy nadzwyczajnych.

— Słuchamy, słuchamy — wołają chórem dziewczynki.

Odrzuciwszy płową czupryne, rozpoczyna:

— Uczyłyśmy się roku minionego me-

chaniki, dużo myśli nasuwała mi zawsze ta nauka, szczególnie gdy chodziło o samoloty. Już wtenczas różne pomysły krążyły mi po głowie, rozmawiałam na ten temat z pilotami.

— Pamiętamy, pamiętamy, przerwała Zosia Na pytanie co to jest siła nośna — odpowiedziałaś, że to jest potęga myśli, dzięki której wznosimy się w przestworza i w przeciągu 24 godzin okrążamy kulę ziemską. A Ela, cicha woda, dodała wtenczas, że niepotrzeba się nawet tak fatygować, wystarczy wznieść się do pewnej wysokości ponad ziemię, utrzymać się tam na jednem miejscu, a ziemia pod nami przedefiluje.

Irka — mamy lunety dość wydoskonalone, by w tym wypadku zobaczyć Poznań, Berlin, Paryż, Atlantyk, Nowy York, Park Yellowstoński i ocean Wielki.

— A może jaki wybuch wulkanu spostrzeżemy, może trzęsienie ziemi! Jak dobrze złożyłoby się, gdyby nas wtedy na ziemi nie było! Gotowam wybrać się w podróż, zakonkludowała powoli Krysia.

— Dobrze, dobrze, zawołała przewodnicząca, — nim to nastąpi, wróćmy do naszych projektów. — Ajko, czy skończyłaś?

— Jakto, ledwo zaczęłam!

— Więc masz głos.

— Myślałam nad ulepszeniem dzisiejszego systemu samolotów.

— No, no, słuchamy, zawołała Hela.

— Pragnę spełnić obowiązek obywatelski — ciągnęła niewzruszona Ajka. Nie wiem, czy sama podołam wykonać moje plany, więc rzucam myśli, może je która z was podejmie — może kto inny.

— Pilot — zawołała Wiśka, złośliwy chochlik.

— Nie bądź tak tajemniczą, Ajko, zanadto wystawiasz cierpliwość naszą na próbę, zawołała Jasia.

— Przecież nie dopuszczacie mnie do słowa. Zatem słuchajcie, powiem krótko. Chcę, aby nasze polskie samoloty były w przyszłości niewidzialne i aby lotu ich słychać nie było, chcę, aby nie potrzebowały specjalnych terenów do startu, aby wzbiwszy się w górę, mogły korzystać z zapasów elektryczności atmosferycznej, owszem stać się kondenzatorami tej energji dla celów ziemskich. Chcę, aby zamiast balastu benzyny, zabierać mogły w czasie wojny wielkie ilości amunicji i gazów.

— Czy nie mogłyby te samoloty służyć także spokojnej ludności, by życie jej uprzyjemnić i ułatwić? zawołała zawsze humanitarnie nastrojona Jasia.

— Owszem i o tem pomyślałam. Chcę, aby moje samoloty w ciemne noce przestworza rozjaśniały.

— Jakże to, reflektorami? zapytała Lucia.

— Nie, skrzydła ich i kadłub będą pokryte materją fluoryzującą, która nasłoneczniona w dzień, zachowa cały zapas pochłoniętej energji, by ją wśród nocy rozpromieniować...

— Ależ to cudowne, zachwycające! Proponuję, by domy i chodniki pokrywać także tą materją! Niech żyje Ajka! woła z entuzjazmem Wiśka.

— Już nie będę się bała złodziei — szepce Rena. Dziewczynki z zachwytem krzyczą jedna przez drugą. Wtem zrównoważona Jasia rzuca nieco sceptyczne pytanie:

— Ajko, jak zrobisz, by samoloty i ich zawartość, stały się niewidzialne?

— Nic trudnego, odpowiada ze spokojem Ajka, chodzi tylko o wynalezienie materjału przeźroczystego i o sposób wytwarzania sztucznych chmurek, któreby jadących, maszyny i cały materjał przewozowy osłoniły przed okiem ziemskiem.

— Przecież Wokulski już część pracy wykonał, należy tylko odcyfrować zagadkę i rozwinąć ją — wtrąca Rena.

— Ależ to pomysły, godne Leonarda da Vinci, rzuca cicha Janka.

— Lub Edisona, woła Zosia.

— Ajko, czy skończyłaś? odzywa się głos przewodniczącej.

— Na razie, tak.

— Zatem, koleżanki, reasumując dzi-

wy które nam Ajka przed oczami przesunęła, musimy z zachwytem i dumą oddać hołd zamiarom i planom Ajki, naszej koleżanki. Wypowiedziała ogrom projektów ze zwykłą sobie skromnością. Ale, pytam się, co z tego będzie, czy słowo i myśl zamieni się w czyn?

— Dlaczegoby nie, odezwała się Jadźka — zabierzmy się tylko do pracy rzetelnej. Wiemy przecież, że pracą i wytrwałością nietylko matury się zdobywa.

— Prawda, nawet genjuszem zostać można, zdaniem Edisona, który twierdzi, że genjusz to 99% pracy a 1% tego, co zwykle nazywamy genjuszem — dorzuca Irka.

— Ze zdaniem Edisona godzę się pod warunkiem, że mowa jest o genjuszu techniki, nigdy zaś, gdy chodzi o sztuki piękne np. muzykę — wtrąca muzykalna Hela.

— Wróćmy do projektów Ajki — odzywa się Jasia — nie zapominajmy, że mamy wśród nas przyszłego inżyniera, naszą przewodniczącą. Zatem podaję wniosek następujący: Zabierzmy się do systematycznej i wytrwałej pracy na kółku naszem, jak słusznie podniosła Jadźka, rozszerzajmy wiadomości obecne lekturą poważną, podniecajmy zapał ścisłemi ćwiczeniami w pracowni fizycznej i chemicznej a — zobaczymy — może Polska doczeka się z nas pociechy a szkoła nasza chluby.

— Czy wniosek przyjmujemy? pyta przewodnicząca.

— Przyjmujemy, przyjmujemy! wołają dziewczątka chórem.

— Z małą poprawką, wtrąca Jasia.

— Co takiego? pytają koleżanki.

— Abyśmy na lekcjach fizyki i chemji uważały pilnie, nie przyjmowały żadnych podpowiadań i stale były na lekcje przygotowane.

— Godzimy się, godzimy, wołają dziewczynki, przy akompaniamencie dwóch „och!“

— Może zawiązałybyśmy specjalny związek lotniczy, proponuje Bożena.

— Sądzę — zabiera głos przewodnicząca — że wystarczy na razie, gdy jako wyraz czynu zaabonujemy czasopismo „Młody Lotnik“ i na naszych posiedzeniach kolejno sprawę zdawać będziemy z przeczytanych artykułów.

Wniosek przyjęto. Jak na komendę zwróciły się koleżanki gromadą do Ajki, i ze serca uściskały ją. To milczące uznanie było jej najmilsze. Dziewczynki rozeszły się przeważnie zamyślone i — na chwilę — milczące.

M. Sl.

DO ALBUMU.

Nie tego nam potrzeba czynu,
Co wstrząsa raz i zginie,
Nie tylko za to liść wawrzynu,
Nie za to hołd jedynie.

Nie gromu trza, co skałę kruszy,
Lecz kropli, co ją żłobi —
Niechaj ten zapał młodej duszy
Dzień każdy nam ozdobi.

Zamiast niekiedy życie całe
Za wielkiem dziełem gonić —
Wkładajmy ducha w rzeczy małe,
By darmo sił nie trwonić.

Kto krok za krokiem dobrze orze
Swą glebę z sercem szczerem,
Ten wiele też dokonać może,
Ten też jest bohaterem . . .

Alina Kwiecińska

Pod Protektoratem J. E. Kardynała Dr. Hlonda, Prymasa Polski, odbędzie się w Poznaniu od 28 września do 2 października 1927 r. **Międzynarodowy Akademicki Kongres Misyjny.**



Gmach Uniwersytetu w Poznaniu, gdzie się odbywać będą posiedzenia Zjazdu.

Najznakomitsi znawcy spraw misyjnych wszystkich prawie narodów katolickich przybędą w charakterze referentów, między innemi Ks. Arcybiskup Guébriant, Ks. Biskup Baudrillart z Paryża, Ks. Biskup Okoniewski (Pelplin), p. profesor Schmidlin (Monaster), O. O. Charles S. (Lowanjum), O. Schebesta (Jugosławja), O. Freytag, O. Woroniecki O. P.

W skład Komitetu honorowego weszli J. E. Ks. Prymas Hlond, p. wojewoda Bniński, J. M. p. Grochmalicki, Rektor Uniwersytetu Poznańskiego i p. Ratajski, prezydent miasta Poznania.

Do Komitetu ogólnego, którego przewodniczącym jest J. E. ks. Biskup Nowowiejski z Płocka, należy szereg wybitnych osobistości polskich.

Międzynarodowy Akademicki Kongres Misyjny stać się ma wielką i żywiołową manifestacją dla sprawy misyjnej ze strony młodzieży akademickiej i inteligencji wszystkich narodów katolickich, która pójdzie w kierunku najgorętszych życzeń Ojca św. Piusa XI.

Komitet Kongresu ma zaszczyt prosić o jaknajliczniejszy udział w Międzynarodowym Akademickim Kongresie Misyjnym, który niewątpliwie stanowić będzie ważny etap rozwoju idei misyjnej wśród młodzieży akademickiej świata katolickiego.

Zgłoszenia uprasza się nadesłać do Komitetu organizacyjnego Międzynarodowy Akademicki Kongres Misyjny w Poznaniu, kancelarja Prymasa Polski, Ostrów Tumski.

RÓŻNE WIADOMOŚCI

Kongres Pax Romana, międzynarodowego stowarzyszenia młodzieży akademickiej, obradował w tym roku w Polsce; w dniach od 11 do 19 sierpnia, uczestnicy byli kolejno w Warszawie, gdzie głównie toczyły się obrady, w Częstochowie, w Krakowie i Katowicach. Organizacja Pax Romana, założona w 1919 r. skupia młodzież akad. różnych krajów, celem ześrodkowania dążności społecznych i narodowych pod hasłem: „Instaurare omnia in Christo" Polska młodzież akad. w ruchu tym wybitne zajmuje stanowisko — preze-

sem Pax Romana w roku zeszłym obrany był Polak p. St. Orliński. — Obecny kongres podniósł jeszcze znaczenie naszej młodzieży i ułatwił współpracę w duchu Chrystusowym. Z cudzoziemców brało udział w obradach 12 Francuzów, 21 Belgów, 4 Niemców, 25 Czechosłowaków, 26 Węgrów, 10 Holendrów, 4 Szwajcarów i 50 Anglików.

Zjazd Unjonistyczny, jak co roku odbył się się w lipcu b. r. w Welehradzie, na Morawach, celem omówienie możliwości połączenia Kościoła wschodniego z Kościołem rzymsko-katolickim. Z polskich biskupów brał w nim udział ks. biskup Przeździecki z Podlasia.

Opłaty na wyższych uczelniach naszych będą prawdopodobnie zniżone w nadchodzącym roku szkolnym. Zależnie od pracowni i seminarjum w jakiem się studjuje, mają one wynosić od 124 do 165 zł rocznie, wraz ze składką na fundusz stypendjalny dla niezamożnej młodz. akadem.

W czasie tegorocznych Targów Wschodnich, od 4—15-go września 1927 r. we Lwowie, zorganizowane będą I-sze Targi Miodowe. Za czasów przedrozbiorowych słynął Lwów z handlu miodem i woskiem pszczelnym, gdyż Podole i Wołyń — to jak mówią, jeden z najbogatszych „śpichlerzy miodowych“ w Europie. Targi miodowe mają na celu ożywienie na nowo tego działu naszego handlu. Na tegorocznej wystawie pszczelniczej w Pradze — w pierwszych dniach lipca — Warszawski Związek pszczelniczy otrzymał złoty medal — a na prezesa i sekretarza Wszechświatowego Związku pszczelniczego wybrano Polaków.

WŚRÓD KSIĄŻEK.

Bronisława Włodkówna: „Cierpienie i radość“. Powieść. — (Nakładem Księgarni św. Wojciecha. Cena zł 1·70).

Czem wypełnić życie gdy nie można założyć rodzinnego ogniska? Czy naprawdę życie dziewczyny będzie jednem pasmem cierpienia, gdy serca jej nie ogrzeje nigdy tchnienie miłości męskiej i uczciwej? Na oba pytania odpowiada autorka, kreśląc w śliczny sposób dzieciństwo Janiny, jej pracę po dworach wiejskich, zamajaczenie szczęścia osobistego, zawód i — triumf nowego życia. Janina drogę znalazła w bezgranicznem oddaniu się duszom sierocym i po tej stąpa nie z rezygnacją, bólem, melancholją, lecz z radością tak czystą, jak gdyby całe jej poprzednie życie było jeno próbą krótką, której się nie pamięta. Rzecz napisana żywo, czyta się z prawdziwem zainteresowaniem.

Dr. Edward Lubicz-Niezabitowski: (prof. uniw. pozn.) **„Postacie żywych zwierząt“.** Według własnych zdjęć z natury, dokonanych przeważnie w poznańskim ogrodzie zoologicznym. (Z wielobarwną okładką). Zeszyt I. Nakład Księgarni św. Wojciecha. Cena zł 5·—.

Przed oczyma czytelnika przesuwa się ciekawa galerja zwierząt i ptaków, doskonale pod względem anatomicznym uchwyconych i zreprodukowanych, na tablicach rotograwurowych, z dołączonym świetnym fachowym opisem każdej postaci. Rzecz nadaje się szczególnie do bibljotek szkolnych, jako pomoc przy wykładzie zoologji lub jako materjał wzorów dla rysowników. Dla licznych zaś gości zwierzyńca poznańskiego posłuży jako miła pamiątka ze zwiedzenia tego jedynego ogrodu zoologicznego w Polsce.

OD REDAKCJI.

Dziewczątko drogie. — Na progu szkoły i nowego życia wita Was gazetka wasza!

Jakże przeszły wakacje? Czy dużo posiałyście radości? Czy dużo dobrego wzrosło wokół Was i dzięki Wam?

Pytam tych, które przez wakacje do mnie nie pisały, a tym, które nadsyłały obszerne i zajmujące listy i tym, które tylko kartkami z wycieczek przypominały o sobie ślę serdeczne: „Bóg zapłać!" Bardzo miłe były mi te dowody pamięci i łączności myśli. Widzę, że rosną zastępy tych, co chcą Dobro i Piękno szerzyć, więc ufajmy, że coraz lepiej wszystkim będzie.

I mnie było przykro, że niektóre z Was, zatrzymując się z wycieczkami w Krakowie, nie zastały mnie w redakcji. Byłoby mi bardzo miło poznać osobiście, znane tylko z listów, „Gawędziarki" i ustnie, swobodniej niż pisemnie o niejednem pogawędzić. Najwięcej to mi było żal wycieczki z Krotoszyna i Lublina! Tylko kwestja kilku godzin stanęła na przeszkodzie spotkaniu się naszemu. Ha, widzimy z tego, jak dużo może znaczyć krótka nawet chwilka, jak umiejętnie trzeba czas rozkładać, by go na wszystko starczyło!

Warto o tem pamiętać teraz, na początku roku szkolnego.

Promyczku, za miły liścik — dziękuję. Wspaniałą odbyliście wycieczkę. Możebyś coś więcej o tem napisała?

Stefa R. z Kr. Niesłusznie wymawiasz się, że „nie masz zdolności". Napisz o wakacjach i harcerskich kolonjach tak, jak ten ostatni list Twój, a będzie dobrze. To prawda, że „mimo smutków, co walą się na głowę" można być „bardzo szczęśliwą". W tem właśnie sztuka życia, żeby tego wewnętrznego, głęboko w sercu tkwiącego szczęścia nie dać zaprószyć szarzyzną zwykłych trosk i kłopotów, mgłą melancholijnych, niby to, poetycznych smutków i smuteczków, podkopującczh zdrowie duszy i ciała. Wierzę, iż pobyt na wsi wśród przyrody, której piękno tak żywo odczuwasz jeszcze hartowniejszą i odporniejszą cię uczyni. Temi skarbami mocy i wesela dziel się z otoczeniem.

Sokolę z Poznania skoro lubi pisać niech częściej nas listami obdarza. Lubię te listy wasze, zwłaszcza gdy z nich przebija wasz postęp w naukach i w wewnętrznem wyrobieniu.

H. Pl. — Błonie. Proszę o nadesłanie prób, o których wspominasz. Może się nadadzą. W rubryce „Nasze szkoły" i Nasze prace" umieszczamy prace młodzieży — naszych prenumeratorek.

Jaskółko, jakże się udała loteryjka i cała Twa praca na rzecz misyj? Czy dużo uszyłyście sukienek dla murzyniątek — bielizny dła ubogich kościołów? Dobrze to, że pamiętacie o robotach kościelnych. Tyle różnych serwetek i chusteczek, ząbków i wstaweczek haftują, wyszywają nasze panienki, a tyle biednych kościołów naszych nie ma dość palek i korporałów — — — tyle dziewczynek nie wie nawet co znaczą te ostatnie wyrazy — — — Byłabym bardzo rada, żeby wśród naszych Czytelniczek rozwinęło się zamiłowanie do robót ręcznych, a specjalnie kościelnych i chęć zaopatrywania w nie biednych kościółków.

Marji K. z Miastkowa za list dziękuję. Cieszę się, że „Dziś i Jutro" tak chętnie bywa czytane tak jego nadejścia wyglądane.

Zamiana na tygodnik uzależniona od ilośći prenumeratorek, a więc od Was nie odemnie.

Jak **każda** dotychczasowa prenumeratorka sprowadzi do redakcji przynajmniej jedną nową abonentkę to będziemy o tej zmianie mówili.

Tymczasem macie inną nowość: Dodatek dla młodszych dziewczynek p. t.

„Mój Światek"

który zaczyna wychodzić razem z obecnym numerem.

Prenumeratorki „Dziś i Jutro" będą mogły dla swych siostrzyczek otrzymać to nowe pisemko po cenie zniżonej — t. zn. za **1 zł. 20 gr.** otrzymywać będą **„Mój Światek"** aż do końca 1927 r.

Prosimy o jak najrychlejsze zgłoszenia abonamentu **„Mojego Światka"** celem unormowania jego nakładu.

GAWĘDY PRZYJACIELSKIE.

(Rubryka ta zawiera swobodną wymianę myśli młodych czytelniczek (młodzieży uczącej się). Zwolenniczki jak i przeciwniczki zdań przedkładanych mogą tu głos zabierać. — Przy odpowiedziach należy podawać oprócz pseudonimu adresatki, także **numer** *listu, na który się odpowiada).*

358. Lucynka do Loczka 230. Tak, marzenia przynoszą smutek i tęsknotę, aby je wykorzenić trzeba pracy długiej i ciężkiej, bo te zwodnicze sny młodości (jeśli je tak nazwać można) tyle mają w sobie uroku!

359. Lucynka do Jaskółki 246. Chętnie pogawędziłabym z Tobą, bo zaciekawiasz mnie swem umiłowaniem matematyki, która nie ma dla mnie specjalnego uroku. Niekiedy z wielkim zapałem studjuję ten przedmiot, lecz zaciekawienie wywołane spotkanemi trudnościami przechodzi i — matematyka nudzić zaczyna mnie na nowo. Więcej lubię języki a szczególniej nasz ojczysty. Musisz być ogromnie poważna, bo lata dziecinne uważasz za „minione". Ja nie zdaję sobie z tego sprawy. — Słuchanie pięknej muzyki to dla mnie najprzyjemniejsze chwile w życiu, choć podobnie jak i Ty sama nie gram. A Ty czemu nie śpiewasz, jeżeli to sprawiałoby Ci przyjemność? Uczęszam do kl. V. gim. Napisz coś więcej o sobie.

360. Andrzejka do Kudełka 324. Jakie na mnie robi wrażenie muzyka? Szalone! wprawdzie nie gram, ale gdy słucham muzyki, szczególniej skrzypiec, tak mi się robi jakoś smutno, a zarazem zapominam o wszystkich troskach i małych nieszczęściach moich. Czy lubisz Kudełku poezje? Ja bardzo! a najwięcej liryczne. Czytam je wtedy gdy jest mi smutno, źle na świecie. One koją mó ból i wtedy zapominam o wszystkiem co złe Bardzo kocham muzykę i poezję.

361. Andrzejka do Gawędziarek. Czy która z Was czyta „Iskry", a może należy do K. D. Z w Iskrach?

362. Potoczek leśny do Harcerki i do Rycerki Złotego Serduszka. Z wielką radością zauważyłam że w naszem gronie znajdują się harcerki. Utworzymy więc „trójkę harcerską", czy zgoda? Napiszcie mi coś o Waszych drużynach, czy byłyście na kolonjach lub na jakim kursie harcerskim?

363. Uma-dina do Wulkana 315. Miły i zajmujący poruszyłaś temat. „Życie szkolne" lubię szalenie, to mój żywioł. Szczególnie lubię wspominać czasy szkolne z lat młodszych. Wówczas „życie szkolne" było dla mnie jakieś tajemnicze, pociągało mnie swoją jasnością.

Ja i kilka koleżanek nadzwyczaj żywego temperamentu, szukałyśmy przygód, a wycieczki szkolne były dla nas istnym rajem. Przygody szkolne przybierały czasem „dzikie kształty i rozmiary. Teraz, nawiasem mówiąc, nudzi mi się trochę w szkole. Koleżanki spoważniały, ja też zmieniłam się bardzo. I „życie szkolne", nie dawno tak szczerem szczęściem i wesołością tętniące, stało się jakieś gorączkowe i niepewne. Chwilami pełnemi rozrywek są jedynie lekcje gimnastyki i śpiewu. Lecz i tu powoli zaczyna wkradać się apatja i ociężałość.

Napisz coś na temat „życia szkolnego" u Was!

364 Jaskółka do Wulkana 315. Szara godzina jest dla mnie najmilszym czasem, gdy po odłożeniu książek, stanę przy otwartem oknie — wtedy puszczam myśl i przywołuję obrazy dawnego dziecinnego szczęścia.

A życie szkolne!!! Ileż przygód, ileż wrażeń ono niesie! Zimą, o szarej o godzinie, starzy i młodzi opowiadają o szkolnych przygodach i słyszy się, że „życie szkolne" to najprzyjemniejszy okres życia ludzkiego, że zawsze z tego czasu pozostają najmilsze wspomnienia.

365 Loczek do Potoczka leśnego 341. Mój Potoczku, czy szczęście istnieje na ziemi? To pytanie trudno rozwiązać. Ja sądzę, że człowiek może być tylko wtedy szczęśliwy, gdy umie życie przystosować do własnych pragnień i upodobań, szukając dobra i piękna w różnych jego przejawach. Jednak nie trzeba nigdy tracić wiary w lepszą dolę, zasłużyć ją sobie i stworzyć. Szczęście istnieje, lecz jest jak pajęczyna wiotkie i nietrwałe...

366 Wielbicielka Nauki do Skrzydlatego Marzenia 352 Dziękuję Ci za dobrą radę, według której będę postępowała. Sadzę, że każda z „Gawędziarek" uwielbia naukę, nie tylko ja. Pragnę ją zdobyć, ale słabe zdrowie nie pozwala mi na systematyczną naukę. Od czasu do czasu staram się sama zdobyć nieco wiedzy. Martwię się, że tym sposobem nie zdobędę żadnego zawodu, tak potrzebnego współczesnej kobiecie. Napisz mi, w jaki sposób można zdobyć wytrwałość?

367. Szarotka do Jesiennej Chryzantemy 346. Tak, nad lekturą w ogólności zastanawiam się. Przedewszystkiem zwracam uwagę na typy osób, biorących udział w akcji i na myśl przewodnią autora danej książki.

Słowackiego lubię i z przyjemnością czytam jege dzieła, jednak wolę Mickiewicza. Słowackiego muszę wprost studjować, by uchwycić myśl jego utworów przewodnią.

Mickiewicza wolę, bo w jego poezji przebija przebija jasność i prostota. Optymizm Mickiewicza co do przyszłości narodu polskiego zamienia się u Słowackiego w beznadziejną rozpacz. Często w poezjach Słowackiego daje się wyczuć jakby rozstrój nerwowy, jakby niemoc zrealizowania porywów szlachetnych, gorących.

Jeżeli mój sąd wyda Ci się zbyt krańcowy to bądź wyrozumiałą, jeszcze wszystkich dzieł Słowackiego nie znam.

NASZE SZKOŁY.

Sem. Naucz. S. S. Niepokalanek w Słonimie.

MYŚLI TY MOJA...

Myśli ty moja skrzydlata,
W bezkreśne mknąca przestwory,
Za ciasny tobie krąg świata,
Zawąskie utarte tory.
Jak ptak, co prochem tej ziemi
Gardząc, wzlatuje do słońca,
Płyniesz szlakami górnemi
W dal i wyżynę bez końca.
Z dumnym swych skrzydeł łoskotem,
Przebywasz światów przestrzenie,
Nic się nie zrówna z twym lotem,
Bo skrzydły twemi — natchnienie.
Swobodna i niezrównana,
Szybujesz ponad obłoki,
Przed tobą dal mgłą owiana,
Wrzechświat jak długi, szeroki —
U stóp twych nieba lazury,
Nad czołem gwiazd pióropusze,
Ptaku ty mój srebrnopióry,
Myśli ma... oskrzydl mi duszę!...
Niechaj wraz z tobą uleci
W cudów krainę nadziemną,
Gdzie słońce nadziei świeci,
Bo tu jej pusto i ciemno.
Między żywioły obcemi
Zbłąkana wśród ziemskiej głuszy,
Ona nie przylgnie do ziemi,
Myśli, daj skrzydła mej duszy!

K. Balczunasówna, ucz. IV-go kursu.

KOLEŻANKOM POSWIĘCAM.

Iść muszę wdal, nieznaną dal
Bo praca woła i nęci mnie,
Bo słyszę w niej szum życia fal,
Bo serce moje miłością wre...
Iść muszę w dal.
Lecz w głębi duszy czai się dal
Za tym przecudnym okresem lat,
Kiedy w beztroski owita szal,
Patrzałam z wami na cudny świat...
I w głębi duszy czai się żal.
Lecz pójdę wdal, w nieznaną eal,
Bo światło wiedzy tam dla mnie tli,
Chociaż mi szkoły i was tak żal,
Ze wspomnieniami minionych dni
Ja pójdę wdal.
Chociaż mi smutno, lecz żegnam was,
Z zamglonem okiem, w którym łza drży,
Do orlich lotów wzbić się nam czas,
Bo my przyszłością Polski, my!

Jadwiga Kowalska.

Stanisławów, dn. 30. V. 1927 r.

ŁAMIGŁÓWKI.

ŁAMIGŁÓWKA DOPISYWANA

Zastąpić kropki literami tak, aby całość utworzyła wiersz poety, którego 30-letnią rocznicę śmierci w tym roku obchodzimy.

A..g..ł..io.e! / .e / j..n.. / . / p..s.e / ..r.a / w..r.ą.. / z / ..o.y..ą / g..ę..ą, / K..r / ..z...w..sz. / c...ką / ..s. / .h..s.ę / .z..ch..n.ch / pr...ie. / w / ..b.e / i / .yz..b.ą / I / c..c.a. / ..e.i / .ur.a / ..e.zc.ę.. / m..t. / ..dz. / wc... / ...k.o / . / d..r. / ż...ta / .

SZARADA

Pierwsze jest rzeką, która w Polsce płynie,
A drugie nutą, znaną każdej dziecinie,
Trzecie to czasownik w trybie rozkazującym,
Całość zaś jest miastem w historji słynącem.

TREŚĆ Nr. 14/15:

Warunki prenumeraty „Dziś i Jutro":

Kwartalnie 3·— zł, półrocznie 5 zł 50 gr, rocznie 10 zł. — W Ameryce rocznie 2 dolary.
Za dodatek **„Mój Światek"** prenumerujący „Dziś i Jutro" dopłacają tylko zł. 1·20 za abonament do końca 1927 r.
Adres Redakcji i Administracji: **Kraków, ulica Starowiślna 3.** — Konto P. K. O. 404.930.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor: *Julja Felicja Bronikowska.*

Odbito w Drukarni Polskiej w Krakowie.